

FELIETONY



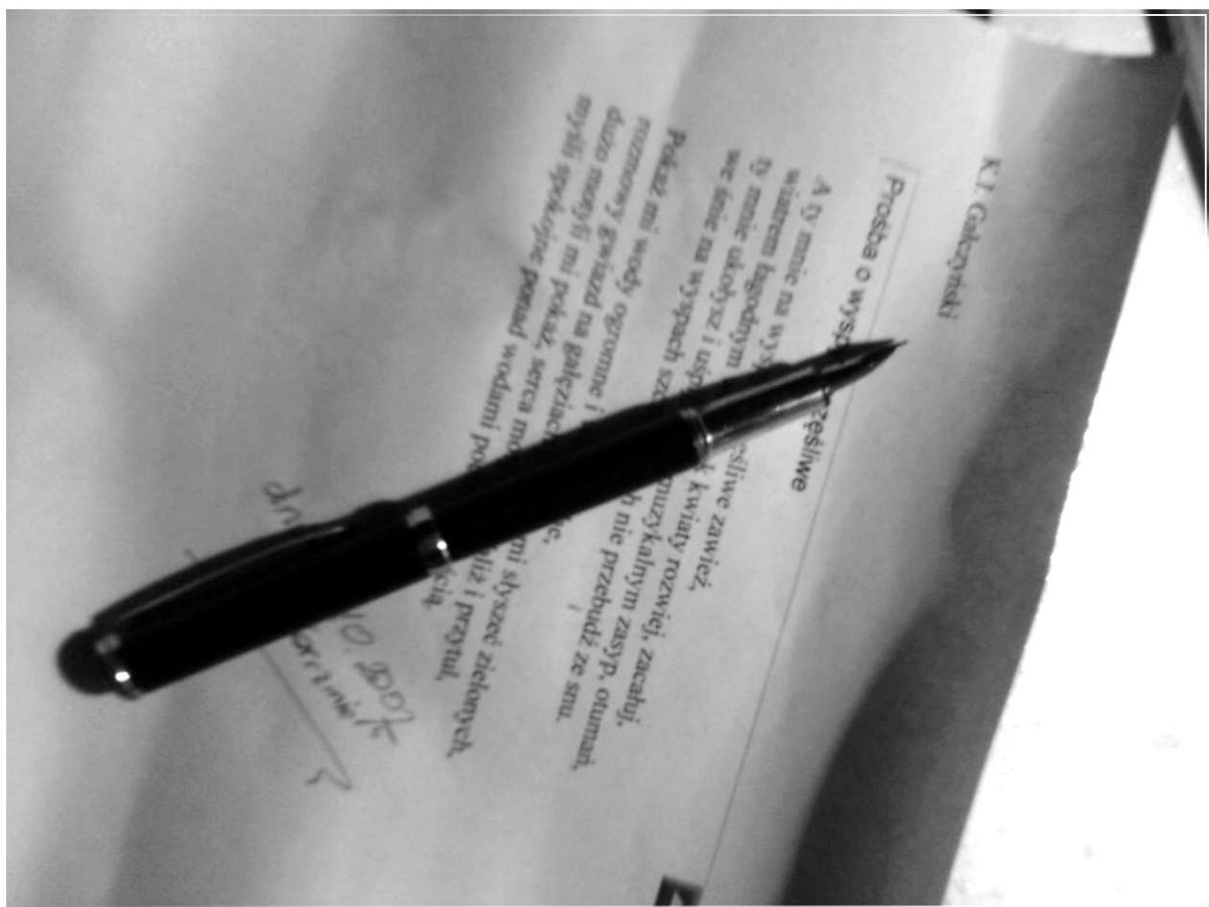


MARIUSZ BOBER

„GŁOS, KTÓRY POZOSTAJE, GDY ODSZEDŁ JUŻ JEGO WŁAŚCICIEL”

...jak powiedział noblista Josif Brodski. Nawet dzisiaj nie umiem pojąć magii słów i tego, iż człowiek posiada możliwość ich pisania. Niezwyczajnie więcej niż własny podpis i od czasu do czasu świąteczne życzenia. Albo „Do diabła z przesadą (jak poradził kiedyś młodemu Heaneyowi Michael McLaverty). Nie musisz się starać by w twoim długopisie biło tętno”. Z jednej perspektywy jesteś „statystyką” z drugiej zaś „Istota ludzka to kometa spływająca językiem w dół czasu, żadna żyjąca istota taka nie jest” „Nóż, który leży tam na półce buchało z niego niegdyś znaczenie, jak z krucyfiksu. Był żywą istotą. Ile to lat? Prosiłem go, błagałem, aby się nie złamał? Znałem na pamięć ostrze z ułamanym szpicem. Linie słojów na rękojeści...” (za Elizabeth Bishop piszącą o doświadczeniu Robinsona Crusoe). Wyrwam z kontekstu te zdania by zapisać rytm i jakoś nacieszyć się słowem. Wbrew pozorom w literaturze tkwi potężna siła, a kiedy się ją poznaje, aż strach pomyśleć jaki reaktor atomowy buduje się za swoim biurkiem. Kit (co za przedziwne nazwisko) pisze: „Włożę do pudełka szelest jedwabnego sari w letnią noc, płomień z nozdrzy chińskiego smoka, koniec języka dotykającego zęba”. I co? Dobrze owszem to jedynie słowne akrobacje ale czasami aż się boję słowa, stwórczej jego możliwości a może i szaleństwa piszącego. Nie, piszący nozdrzami przeczuwa cały ten bezmiar stojąc choćby nad brzegiem morza. W jakiś sposób staje się niebezpieczny zarazem przemożnie silny potwornie silny. W końcu odważny nieustraszony z czasem wolny, zbawiony. Z biegiem tego czasu wybawiony z tego świata. Osiąga szczyt – góry. Wewnętrznie – i od tej chwili zaczyna się jego podróż cielesna. Pisząc choćby jak Krzysztof Koehler „będę się wpisywał potem, potem, w to zdziwienie wbite między oczy: los, choć wredny, musi być przy tobie: w dzień i w nocy.” A z prozy zebranej Roberta Lowella: „Miałem nadzieję pisać wiersze tak

giętkie, jak rozmowa, tak jasne, by słuchacz mógł złowić każde słowo, i... Studia życia są zagorzałą konwersacją, a nie koncertem”. A tu, na rogu Ostrowieckiej przy okienku kiosku przechodzień powiedział „poproszę Wyborczą, papierosy i kartę telefoniczną”. Ulicą przejechał samochód marki ford... i co? Później być może na wieczór autorski przyjdzie garstka ludzi płacąc dwa polskie zgniecione złote by usłyszeć, że życie to zmoczony pampers, boląca głowa, zła zupa, szczeniak na rowerze, albo ujadający pies o trzeciej nad ranem. Albo wredny szcerstwiały chleb na śniadanie albo dębowa herbata pita w pośpiechu rano. Zalegający rachunek na stole albo w mordę dali mojemu dziecku na przerwie w szkole. Była krew i winni. Była karetka i policja. Nikogo więcej. A obok rosły słoneczne nasturcje - nikt nie widział ich piękna w tamtej chwili. Bezbronne – przedziwne, nikt ich nie leje po pysku. Innym razem w Krakowie na słupach widziałem rozliczne plakaty ze zdaniem „Kocham Cię, Aniu”. Płakałem przez chwilę. A on sumiennie naklejał jeden po drugim. Jazgot, zapiszczały opony ciężarówki, rozbiła się miłość o przedni zderzak. Dobrze. Wstęp na wieczór kosztuje 50 złotych – polskich złotych. Stroje galowe obowiązują koniecznie. Będzie darmowa herbata może kawa. Wypiją i pójdą sobie. A ja chciałem przeczytać, że w sklepie stara kobieta zamiast okularów lupy używa by czytać. Nienormalna. Lecz najważniejsza w tamtej chwili wyjątkowa najbardziej nikt inny tak nie czytał jak ona. A oni dumni stali jak pawia ogon. Wiersz powiedział: „Patrz, jak błękitna rzeka, wciąż zbyt daleka i życie twoje, jak filmu zwoje, minie i nie zaczeka.” Kurwa! Ludzie udają, że nie są wulgarni. Figa z makiem, nie przystoi świntuszyć zewnętrznie a wewnętrznie? Dlaczego więc ludzie chodzą do spowiedzi? Niegrzeczni, figlarni jak też ksiądz wytrzymuje te ludzkie kazania


 Mariusz Bober

wewnętrzne. Podwodne stwory ludzkie. Grzeczni, nieświęci, niewyprasowani, letni. I ludzkie znoszenie kiedy nie lubi się kazania starego kapłana – nie dasz mu przecież do myślenia. A ludzie codziennie gadają zwyczajnie na ulicach w sklepach, domach. W ilu zaś rozmawia się przy obiedzie o dajmy na to zdaniu T. S. Eliota: „Wiersz może przekazywać swoją myśl, zanim jeszcze zostanie zrozumiany”. Dlaczego wygrywa codzienność a nie to co najważniejsze. Zmoczoney, śmierdzący pampers. To nie jest dzieło bo dotyka spraw codziennych. Ale niecodziennym byłoby zobaczyć na ścianie choćby zdanie Pabla Nerudy: „Lubię cię, kiedy milczysz, bo jesteś jak nieobecna. A tak daleka i smutna, jak gdybyś umarła. A wtedy jedno słowo, jeden uśmiech wystarczy. I cieszę się cieszę się wtedy, że to nieprawda”. Albo frazy *Entropii* Dereka Mahona: „Zaszywamy się tu w niedostępnych miejscach w gro-

tach, głazach narzutowych, w opuszczonych zagrodach, w splątanych przewodach, w starych samochodach gotujących się na śmierć wśród niezgłębianych mleczy, które są spadkobiercami ziemi”.

Jutro kolejny akt twórczy poświęcony własnym imieniem i nazwiskiem lista obecności a później anonimowość do zmierzchu potem znaczone ślady do domu a dalej potem może Eliot a może Mahony a może wiersz siostry o pierwszej miłości. Potem ojciec zbyt stary na ludzkie pieśczęty i dziadek zbyt martwy by trzymać na kolanach. Jego dłubanie w cukiernicy i pędzel stary. Malarzem był. Świat czasem zatrzymuje się o pełnych godzinach by od czasu do czasu pomodlić się nad zdechłą biedronką ludzie są ważniejsi – rząd mało istotny, zgrzybiały. A moja siostra zaśpiewała, „moja dusza pragnie Ciebie, Panie”...





DARIUSZ MAGIER

OFFLINE

IGNAVUS PEREGRINATOR IN NOTRE DAMME

*Wiedz: przed nikim prócz Ciebie nie pochylę czoła,
Lecz skoro mi niełatwe przeznaczyłeś drogi,
Daj za przewodnika najlichszego anioła,
Pobłogosław mój szkaplerz, ryngraf i ostrogi.*

Adam Danek „Angelofania”

Wiosna roku Pańskiego 2005 niosła na przedramieniu wiklinowy kosz pełen niepewnych dni. Beata źle znosiła ciężę i obawialiśmy się o zdrowie małego Wojtusia rozpychającego się pod cienką warstwą skóry na jej brzuchu. Trzeba było udać się po prośbie do wyższej instancji. Złożyłem przed Bogiem ślub, że po szczęśliwym porodzie odbędę pielgrzymkę po wszystkich sanktuariach maryjnych naszej diecezji. Przyszło lato. Rozwiązanie było szybkie i szczęśliwe, Wojtuś zdrowy i śliczny. Wraz z drugim imieniem, upamiętniającym datę urodzenia, otrzymał silnego patrona (a jednocześnie drogowskaz życia) w postaci



Gustave Dore, Boska komedia, Niebo, Dante, Beatrycze i niebiański orszak aniołów

św. Jana Marii Vianneya, słynnego proboszcza z Ars. Nastąpiły cudowne dni powiększonej rodziny. Czas płynął. Zdażyłem jeszcze jesienią wybrać się do przepięknej Bazyliki Mniejszej w Parczewie, gdzie modlitwa zdaje się unosić na anielskich skrzydłach wprost ku sklepieniom neogotyckiej świątyni. Przy okazji pobytu u babci Magierowej odwiedziłem Matkę Boską Kolembrodzką. Najświętsza Panienska, której bizantyjska postać miała przyśnić się królowi Janowi, gdy kwaterował w Królewskich Brodach w drodze na Wiedeń, zdawała się prześwieślać mnie na wylot smutnym wzrokiem.

Zima nastąpiła wyjątkowo śnieżna, mroźna i długa. A potem, stęsknieni wiosny, chłoniliśmy ją każdą wolną chwilą. Nieświadomi niczego, niebaczni, nie pamiętający...

Czarną serię rozpoczął mój dziadek Marian w maju 2006. Wszyscy mówili, że zabrała go ze sobą zaborcza siostra Eugenia z Wybrzeża, która umarła trzy tygodnie wcześniej. Zaraz potem zmarł wuj - mąż siostry mojej babci ze strony mamy. On z kolei w miesiąc później zabrał swoją żonę. Potem zachorowała mama...

Wtedy przypomniałem sobie o niespełnionym ślubie. Całą już piątką, dzięki czemu okazać mogłem Najświętszej Paniencie naszą najmłodszą latorośl, wybraliśmy się w odwiedzin do matki Bożej Kodeńskiej. Nadburzański Kodeń nas oczarował - ojcowie misjonarze oblaci wykonali tu kawał porządnej roboty tworząc z ugoru istny rajski ogród dla pielgrzymów pragnących ciszy, kontemplacji, namacalnej obecności Boga.

Z dwoma przyjaciółmi odbyłem z kolei jednodniową pielgrzymkę do Matki Boskiej Gulońskiej, do Górek koło Węgrowa i Gozli-

na Mariańskiego Porzecza. Wróciliśmy zadowoleni, pełni łaski, kipiący Bożą energią. Modlitwa w przepięknym, starym, pokrytym niesamowitymi freskami drewnianym kościele w Goźlinie Mariańskim Porzeczu była niczym życiodajne tchnienie średniowiecznego Christianitas.

Ślub zakończyłem wspólnie z żoną i dziećmi odwiedzinami u Matki Bożej Leśniańskiej, gdzie ciepłym letnim wieczorem mogliśmy uczestniczyć w wystawieniu Najświętszego Sakramentu i wraz z paulinami modlić się do Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny. Módl się za nami, ...się za nami, ...za nami, ...ami - niósł się głos w przyjazny mrok spacerujący po ulicach wyludnionej osady. Potem wracaliśmy zagubioną wśród południowopodlaskich pól szosą, śmiejąc się przy okazji zawracania do rozjazdu, na którym pomyliliśmy kierunki.

Jakże trudno jest przełamać to obrzydliwe, samolubne myślenie wyłącznie o sobie! A

przecież tak powszechne u ludzi „kontrakty” zawierane z Najwyższym nie kończą się wraz z wypełnieniem Jego części umowy. One „wiszą” czekając na nasz ruch, na wypełnienie naszego zobowiązania. I nie znikają. Czasem powracają seriami nagłych nieoczekiwanych, które boleśnie przywracają nam pamięć.

Podróż na raty do Naszej Pani (Notre Damme), którą odbyłem, nie była, Broń Boże, odbębnieniem ślubu. Każda z jej części stawała się autentycznymi rekolekcjami, które otrzepują człowieka z brudu tego świata i wynoszą ku mistycznej doskonałości. Dlatego ja gnuśny pielgrzym (ignavus peregrinator) wdzięczny jestem, że przywołany zostałem do porządku. Bo naprawdę warto, by rzymski katolik odwiedził kiedyś święte miejsca własnej diecezji. Nawet bez specjalnych ślubów.



IZABELA STANIEC-JASKOWSKA

* * *

Wieczór rozbeczał się nad swoim losem;
tuż pod latarnią, na środku kałuży
przykucnął cicho i pociąga nosem:
że ciemno, zimno, że czas mu się dłuży.
A Czas się nie dłużył, a tylko rozszczepiał
na cień kaloszy, wysokich kołnierzy;
wieczór miał chandrę i słuch tępy wlepił
w pomruki, mantry, urywki pacierzy.
Nie próbuj głaskać, bo deszczem usieczę.
I schowaj w kieszeń chustkę wygniecioną.
Z alergią na kurz, sumienie człowiecze
wieczór obmywa dziś wodą święconą



NATALIA JULIA NOWAK

Najcnotliwsza w klasie

Wzrastałam wśród białych różyczek
 I pragnę ich czystość zatrzymać.
 Nie miałam też nigdy okazji,
 By chłopca za rękę potrzymać.

Nie miałam tupetu, by spojrzeć
 Głęboko w chłopięce źrenice.
 Mam prawo nazywać się lilią
 Gdyż wielbię moralne granice!

Nie chodzę na denne zajęcia,
 O życiu rodzinnym mówiące.
 Umieram z niesmaku, gdy widzę
 Panienki sprośnością płonące.

Ślinienie, duszenie rękami...
 Nie znoszę miłosnych tradycji!
 Wystrzegam się flirtu i brudu,
 Gdyż słynę z najwyższych ambicji!

Tak, jestem najczystsza w mej klasie,
 Nietknięta jak mgiełka poranna...
 Choć żyję szesnaście jesieni,
 Wiem dobrze, że umrę jak panna!

Niech inni się bawią w romanse,
 Niech karmią się nagim obrazem.
 Lecz ja jestem śniegiem najbielszym:
 Tak czystym i zimnym zarazem!

Zrozumcie: to wszystko nie dla mnie!
 Nie szukam przyjaźni, miłości!
 Nie będę mieć dzieci, partnera...
 Cnotliwość jest źródłem radości!



NATALIA JULIA NOWAK

Najcnotliwsza w klasie

CZERWONA PŁACHTA NA N. J. NOWAK

Teoria lepsza niż test IQ. Istnieje teoria, według której inteligentni ludzie obgadują ideologie, przeciętni - fakty, a głupi - inne osoby. Jeśli chodzi o mnie, potrafię kierować złe słowa przeciwko każdemu z tych tematów. Nic więc dziwnego, iż niektórzy ludzie uważają mnie za niezwykle bystrą, dojrzałą dziewczynę, a inni za kogoś całkowicie niemądrego. Zdarzają się również głosy, według których nie jestem nikim szczególnym w związku z tym nie osiągnę wielkiego sukcesu. Żeby udowodnić, iż każda ze stron ma odrobinę racji, napiszę o kilku sprawach, które bardzo mnie irytują. Aby obgadać ideologie, opiszę fakty związane z ich wyznawcami.

Eutanazja, kara śmierci, aborcja. Odkąd pamiętam, denerwował mnie pogląd, według którego śmierć może rozwiązać jakikolwiek problem. Już jako sześciolatka dziewczynka czułam niesmak, gdy dowiedziałam się o eutanazji mojego ukochanego psa. Oczywiście, rodzina próbowała mi wmówić, że zrobiła to dla dobra nieszczęsnego zwierzaka, ale ja nie podzielałam jej zdania. Nie mogłam zrozumieć, jak śmierć może przerwać czyjekolwiek cierpienie - przecież martwa istota nie czuje żadnej ulgi! Do tego dochodził fakt skrajnego okrucieństwa, targnięcia się na czyjeś życie... To prawda, zwierzęta nie posiadają własnego zdania na temat eutanazji, ale takie praktyki stosuje się również wobec ludzi. Jak można życzyć komuś śmierci, nawet, jeśli on sam o nią prosi? Czy porządny człowiek mógłby chcieć, aby ktoś inny umarł? Te same pytania zadaję sobie, słysząc o karze śmierci. Uważam, iż wyrok dla mordercy powinien być nie kończąca się pokutą, umartwieniem. Tymczasem kara śmierci to kara na krótką chwilę. Wyobraźmy sobie taką sytuację: Iksiński zabił jednego człowieka i trafił do więzienia na dwadzieścia pięć lat, natomiast Igrekowicz zabił dwie osoby i został skazany na dziesięć minut w komorze gazo-

wej. I gdzie tu jest sprawiedliwość?!

Dorzućmy do tego fakt, iż kara śmierci uniemożliwia zbrodniarzom nawrócenie (bo tak się składa, że przemiany duchowe zachodzą nieraz bardzo powoli). Oczywiście, zwolennicy kary śmierci twierdzą, że mordercy dobrze wiedzieli, jakie konsekwencje im grożą. Ale w przypadku nienarodzonych dzieci jest zupełnie inaczej. Przecież one nie popełniły żadnego grzechu, są absolutnie czyste i niewinne! Dlaczego niektóre matki decydują się je zabić?! Nie ma takiego dziecka, które odpowiadałoby za to, że znalazło się w czyimś brzuchu (nawet, jeśli ojciec był gwałcicielem). Poszukując informacji na temat aborcji, trafiłam na kilka stron internetowych, prowadzonych przez feministki. Ale to temat na następny akapit.

Feminizm. To słowo wywołuje we mnie takie odczucia, jak wyraz „Voldemort” w społeczeństwie z Harry'ego Pottera. Kojarzy mi się z zadziornymi babami, które wyrzucają na wierzch własną seksualność i dyskryminują facetów, twierdząc, że jest odwrotnie. Nie podoba mi się, że wyznawczyni tej ideologii chcą, aby kobieta mogła się swobodnie puszczać (po zastosowaniu tabletek antykoncepcyjnych), a jednocześnie walczyć z pornografią. Bo niby przedstawia ona płęć piękną jako bezmózgie obiekty seksualne. Przepraszam bardzo, przecież to głoszenie dwóch skrajnie różnych poglądów! George Orwell (skądinąd mężczyzna) nazwałby to „dwojmyśleniem”. Jeśli jesteśmy już przy temacie facetów - na niektórych stronach feministycznych można znaleźć złośliwe teksty, które sprowadzają ich do rangi podludzi (To nie żart! Według jednego z artykułów, kobiety są „nadistotami”, a mężczyźni „podistotami”!). Płęć silna jest w nich obrażana, wysmiewana, odzierana z wszelkiej godności. Widziałam również kilka rysunków wykonanych rękami



📷 Janusz Nowak

feministek. Obrazki te są tak ohydne i straszne, że lepiej w ogóle ich nie opisywać. Muszę przyznać, że nie wiem, o co walczą kobiety, nazywające siebie feministkami. W całym moim życiu (a żyję od 19 lutego 1991 roku) zetknęłam się jedynie z dyskryminacją mężczyzn. To właśnie im nie wolno okazywać słabości, strachu, nosić sukienek, malować się (wystarczy pomyśleć o kpinach z wokalisty Tokio Hotel!), płakać w miejscach publicznych. Jeśli kobieta wykonuje męski zawód (np. jest kaskaderem), zyskuje miano bohaterki. Ale facet, zajmujący się kobiecymi sprawami (np. przedszkolankę), spotyka się z niezrozumieniem obserwatorów. Kolejna sprawa: kiedy małżeństwa się rozwodzą, prawo do opieki nad dziećmi otrzymują prawie wyłącznie matki. Przecież to jawna niesprawiedliwość! Najdziwniejsze jest to, że feministki uważają się za niezwykle silne i waleczne, ale służby wojskowej unikają jak ognia. Ech, zapuściłam się daleko, krytykując ich światopogląd. Jednak nie będę ukrywać: jeszcze nigdy nie widziałam, by kobieta była kierowcą

autobusu. Czyżby to była prawdziwa dyskryminacja?!

Zakończenie. Popieranie zabijania i feminizm to tylko szpic góry lodowej, którą można by nazwać „czerwoną płachtą na N. J. Nowak”. Istnieje jeszcze wiele rzeczy, nadwężających mój układ nerwowy - rozhukana młodzież, wulgarno-seksualne żarty, poniżanie Mandaryny i ojca Rydzyskiego, strajki lekarzy, przypisywanie wszystkiego masonerii... Mam nadzieję, że zwróciłam Państwa uwagę na dwa niebezpieczne zjawiska, które w pewnym momencie zaczynają się przenikać. Na koniec napiszę bardzo prosto. Żyję i umieram. Żyję i umieram. Bogu co Boskie, diabłu co diabelskie, kobiecie co kobiece, mężczyźnie co męskie. Jeśli każdy człowiek będzie wiedział, gdzie jest jego miejsce, unikniemy zbędnego chaosu i nieporozumień. Wówczas świat stanie się piękniejszy.





MAX SKRZECZKOWSKI

Jestem wagabundą. Po świecie podróżuję od kilkunastu lat, jednak dopiero kilka lat temu zastanawiając się kim jestem doszedłem do przełomowego odkrycia. Nie jeżdżę z przymusu czy obowiązku, lecz pchany wewnętrzną potrzebą odkrywania. Podróżuję, bo jestem ciekawy świata. Chcę go poznać i zrozumieć. Byłem zaledwie w blisko trzydziestu krajach, na świecie jest ich ponad sto dziewięćdziesiąt (każdego dnia może powstać lub zniknąć jakiś kraj). Nie zależy mi, by iść na ilość, zaliczyć kolejną podróż, zwiększyć statystykę, nie o to w tym wszystkim chodzi.

Obserwator świata. Pewne przygody sprzed lat stają mi przed oczyma jak zatrzymane kadry przygodowego filmu. Tyle, że to ja jestem głównym bohaterem i w przeciwieństwie do bajek nie mam gwarancji, że wszystko dobrze się skończy. Życie jest nieprzewidywalne i nie szczędzi tych, którzy wychodzą na spotkanie nieznanego. Nie mam ochronnego kombinezonu ani świetlnego miecza. Jedyna moja obrona to instynkt samozachowawczy i zdrowy rozsądek, choć czasem to nie wystarcza. Na Ukrainie, jako międzynarodowy obserwator wyborów prezydenckich, odkryłem tajemnicę „martwych dusz” w jednym z obwodów, nie zaplombowaną urnę, jadłem chleb ze smalcem w dwudziestostopniowym mrozie słuchając opowieści pobitego opozycjonisty na kijowskim Majdanie. W Charkowie piękna Natasza, członkini jednej z komisji, gdy odjeżdżałem rzuciła mi się na szyję, prawie dusząc wycalowała i wręczyła pomarańczowy szalik. Przydał się nie tylko wtedy.

Słonie, robaki i narkotyki. Przemierzając na słoniu tajską dżunglę, miejsca, gdzie każdy inny środek transportu zawodzi, zbliżałem się do „złotego trójkąta opium” na granicy z Laosem i Birmą, gdzie nawet wojska rządowe wkraczając giną bezpowrotnie. Jadłem też chrząszcze, szarańczę, gąsienice, poczwarki a także skorpiony rzecz jasna, że nie na surowo. W innym zaś miejscu

ROZWAŻANIA PODRÓŻNE

jadłem rzekomo kurczaka. Jednak do dziś się zastanawiam, dlaczego miał tak wyjątkowo drobne kosteczki. Przekraczając tajsko-malezyjskie przejście graniczne musiałem wyjątkowo uważać. Chodzą słuchy, że częstą praktyką jest tam podrzucanie turystom do bagażu narkotyków, aby później za olbrzymie pieniądze wykupywali swe życie, gdyż za takie przestępstwo obowiązuje tam kara śmierci. Mnie dzięki wyjątkowej czujności udało się. Później na południu w Malezji, siedem stopni nad równikiem, klimat tropikalny z ciągłymi deszczami, gigantyczną wilgotnością, upałem bez słońca oraz wykańczającą mroźną klimatyzacją, hotel bez okien i



Marek Melaniuk

psychotropowe leki antymalaryczne (wycofane w większości krajów Europy ale nie w Polsce). Wszystko to spowodowało, że jedyną rzeczą jakiej pragnąłem, to wyłączyć na Ojczyźnie łonie (jeszcze nie na łonie Abrahama mam nadzieję, że to będzie mi dane nie tak szybko).

Szczury, małpy i szaman. W Indiach kilka razy wyprzedziłem atak złodzieja; w świątyni szczurów, gdzie były ich tysiące, a chodzi się boszo, jeden mnie ugryzł, jednak dość delikatnie. W Varanasi trędowaty odepchnął mnie w ostatniej chwili, gdy pędził ulicą wprost na mnie wielki byk. Nad Gangesem widziałem z bliska ceremonię kremacji, jednak, gdy zmienił się wiatr, moje oczy, nos i usta były pełne dymu z trupimi molekułami. Na dachu guest house-u zaatakowała mnie małpa - szczęśliwie uniknąłem pogryzień. O braku higieny można by napisać kilka doktoratów, ale na miejscu wyboru nie było. Kto wie, ile razy dzięki szczepionce przeciw żółtaczkce A i B uniknąłem tej strasznej choroby, a ile razy otarłem się o inne dużo gorsze? Pod Jaisalmerem w pociągu takim samym jak te spalone pokazywane w telewizji, gdzie pieką się setki pasażerów, zachorowałem na przedziwną odmianę bakteryjnego zapalenia gardła. Gdy odwiedziłem ulicznego szamana - lekarza biodoty, który przy pomocy pęku pawich piór i mantr sprzed ponad trzech tysięcy lat wysysał ze mnie złe moce. Do dziś nie rozumiem, dlaczego po tej wizycie dostałem czterdzieści stopni gorączki. Do dziś także zastanawiam się czy uratował mi on życie, czy doprowadził na skraj grobu? Wezwany „profesjonalny” doktor sześć kilometrów jechał (nie wiem czemu) dwanaście godzin. Może zablądził na pustyni, skąd bliżej do Islamabadu i Kabulu niż do Berlina i Paryża. Jego farmakologiczna interwencja postawiła mnie na nogi po kolejnych dwunastu godzinach, lecz wcześniej, mającąc w gorączce, leżąc pod trzema kołdrami byłem przekonany, że umrę. Nigdy w dorosłym życiu nie byłem w takim stanie.

Co nie zabija wzmacnia. Jest powiedzenie: „co mnie nie zabije to mnie wzmocni” całkowicie się z tym zgadzam. Trzeba uważać, aby nie narażać się na zbyt duże ryzyko, jednak jak je rozoznać? Kiedy przed

wyjazdem do Wenezueli dowiedziałem się, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych odradza wyjazdów ze względu na powódź, w komunikacie czytałem: „...setki ludzkich ciał rzeka wyrzuca każdego dnia...”, zrezygnowałem z wyjazdu. Z Indii wyjechałem kilka dni przed tsunami. W Tajlandii na jednej z wysp zginęło sześćset osób, byłem tam kilka lat wcześniej. Do dziś wspominam uśmiechniętych tubylców sprzedających naleśniki z bananami i polewą czekoladową. To właśnie tam pierwszy raz jadłem świeżego rekina, w porcie pozostawałem do zdjęcia z marlinem, mniej imponującym niż ten od Hemingwaya, to tam kupiłem kopie obrazu Eduarda Maneta i w długim rulonie przywiozłem ją do Polski... Wszyscy zginęli i gdybym tam był, żadną siłą nie ocalałbym życia. Rozważając wyjazd do Nepalu, po informacji o przewrocie zbrojnym obalającym rząd, zniechęciłem się do podróży w tamte strony. Wyjazd do Kaszmiru także nie zapowiadał się bezpiecznie - zrezygnowałem.

W zasięgu rakiet. Konflikt Izraela z Libanem, a właściwie Izraela z Hesbollahem, interesował mnie z perspektywy widza siedzącego w wygodnym fotelu przez szklany ekran - oko na świat. Oko wyjątkowo bezpieczne, lecz niestety coś za coś o zawężonym horyzoncie i perspektywie widzenia. Kilkanaście dni później wraz z żoną (zaledwie od kilkunastu godzin) wylądowaliśmy na Bliskim Wschodzie. Zwiedzaliśmy amfiteatr w Ammanie, gdzie wcześniej jordański desperat ostrzelał grupę turystów, gdzie sześć osób dosięgły kule jedną śmiertelną. Zadziwiające jest, jak w takich miejscach niewyczuwalne jest niebezpieczeństwo. Bałem się będąc w domu. Na miejscu optyka widzenia zmienia się, człowiek nie myśli o strachu. Nic nie zwiastuje niebezpieczeństwa. Może ono nadejść niespodziewanie, jak nagły wiosenny deszcz. Nie da się go uniknąć, można jedynie liczyć na Boską Opatrzność. W Syrii telewizja agituje i nawołuje makabrycznymi obrazami. Na ulicy bojówkarz z wyrzutnia rakiet na ramieniu zagrzewa do walki. U jego stóp stos czaszek w hełmach z gwiazdą Dawida. Szczęśliwie, że to wszystko tylko na plakatach, ale niepokój i

wrogość czuć przez skórę. Trzeba być czujnym, jeśli się jest w zasięgu rakiet Hesbollahu. Ale czy w Europie lub w Ameryce jest bezpieczniej?

Świat w całej gamie barw. Podróżuję, bo pragnę na własne oczy zobaczyć świat w całej gamie barw i półtonów. W zmienności źródeł światła, nie zaś jednostronnie, fragmentarycznie, przerysowany i sztucznie zabarwiony cudzymi poglądami czy propagandą. Im więcej widzę, tym więcej rozumiem, ale ciągle zdaję sobie sprawę jak wiele aspektów nadal pozostaje dla mnie nieosiągalnych, niepojętych. Interesuje mnie prawda, realność, nie zaś fałsz, iluzja czy półprawda. Dochodzenie, czy poznanie prawdy nie zawsze jest łatwe czy przyjemne. Świat jest niezwykle złożony, zresztą każdy ma swój świat i swoją perspektywę jego postrzegania. Mój świat nieustannie się rozszerza, nie jest on jednoznaczny i poukładany, pełno w nim cierpienia i niesprawiedliwości, ale i radości, wiary i nadziei.

Puste miejsce. Nie trzeba jeździć w odległe krańce naszej planety, aby poznawać i odkrywać zjawiskowość świata - uczyć się go. Jego poznawanie to nie tylko kolejne punkty odniesienia na zewnątrz, lecz przede wszystkim kształtowanie samego siebie, swych upodobań, wrażliwości czy potrzeb. Mówi się, że podróże kształcą i jest to prawda. Jednak ja myślę, że podróże kształtują kształtując osobowość. Podróżując ulegam ciągłym zmianom. Nie sposób stać w miejscu, bez ruchu, być niezmiennym. Mimo to trudno pokonywać schematy własnego myślenia, czasem bywa to bolesne, bo aby powstało coś nowego, trzeba zniszczyć to, co stare. Bywają momenty, że człowiek pozostaje z pustym miejscem po stereotypie, który rozpadł się jak domek z kart. Czym je zapełni, zależy tylko od niego.





KRZYSZTOF KWOCZKO

*Albowiem piękno jest tylko
przerażenia początkiem, który jeszcze znosimy
z takim podziwem, gdyż beznamiętnie pogardza
naszym unicestwieniem.*

R. M. Rilke

zapewniam cię bracie
że pomimo tej całej hysterii wszczynanej
przez nadwrażliwych miłośników prozy stasiuka
bieszczadzkie anioły i siekierzadę
można się jeszcze w bieszczadach normalnie zakochać
zwłaszcza w sklepowej z wetliny
ze sklepu spożywczego naprzeciwko kościoła
gdzie przepłacać będziesz za piwo leżajsk
wodę mineralną i kartkę pocztową
z połoniną i napisem tu byłem
(choć jeden miejscowy
- sprzedawca używanych martensów -
zapewniał mnie że ma tu na wino bieszczady
własną taryfę ulgową i własną kartkę w zeszyście)
więc uwierz mi bracie
że można się tu normalnie zakochać
i nawet zapewniam cię bracie
będziesz jeszcze śmiertelnie zazdrosny
gdy jeden z miejscowych poprosi
sklepową by mu w zeszyt zapisała
wino marki bieszczady piwo leżajsk
czy bochenek chleba
(zapewne kolejny raz
nadużywając jej zaufania
zapewne kolejny raz ryzykując
swoją życiową ulgową taryfę)
więc wierz mi bracie
że można się zakochać w bieszczadach
choćby w sklepowej ze sklepu w wetlinie
i wiedz że będzie ci wstyd że nie pracujesz na zrębie
że nie masz u niej własnej kartki w zeszyście
że ci nie ufa sklepową ze sklepu naprzeciwko kościoła
i wyjedziesz upokorzony przepłacając po drodze
za podkoszulek z napisem
kocham bieszczady



JĘSZEK SOKOŁOWSKI

NAWET MYSZ MOŻE DOSTAĆ KOTA

ODCIENIE I BARWY PODRÓŻY

Podróżnicy przemierzający ziemię i odkrywający nowe szlaki to niezwykli ludzie. Dla nich realny czas nie istnieje, jest miarą ich podróży, gdyż niosą w sobie nadzieję na spełnienie własnych oczekiwań i odkrywanie nowych dla potomności.

Co jest takiego niezwykłego w przemierzaniu się? Czy inaczej czas płynie, jeżeli stoimy w miejscu? Dlaczego zmieniający się krajobraz z okna pociągu, czy samochodu pobudza naszą wyobraźnię, podnosi adrenalinę, uzależnia? A nie lepiej to w domu, przy piecu z książką Elżbiety Dzikowskiej? Albo przed telewizorem z pilotem w rękę przedzierać się przez dżungle i przemierzać sawanny z Dawidem Attenborough, bądź z Wojciechem Cejrowskim w różnych konfiguracjach, ale raczej na

wesoło? Same plusy, taniej i przede wszystkim bezpieczniej. Zdajemy sobie przecież sprawę, że każda podróż, nawet taki epizod jak wyjazd na majówkę, może się różnie zakończyć, a to z powodu aury, bądź złośliwości przedmiotów martwych oraz innych czynników obiektywnych. Dlatego zawodowych podróżników z krwi kości jest tak mało, garstka.

Wspomniana Elżbieta Dzikowska na wielu spotkaniach podczas promocji swoich książek często i gęsto pytana jest o wiele szczegółów ze swoich podróży z mężem, Tonym Halikiem, o szczególne sytuacje ekstremalne, najciekawsze zdarzenia. Poznając osobiście Elżbietę podczas jej podróży do własnych źródeł, do Między-





📷 Ela Kowalik

rzecz Podlaskiego i okolic, jedno pytanie cisnęło mi się na usta, jedno fundamentalne pytanie: co sprawia, że nieustannie jest w podróży, czy to sposób na życie? Nie zadałem jej tego pytania i na pewno nie zadam, gdyż zaprzyjaźniając się z nią, rozmawiając na wiele tematów podczas różnych okazji dostałem pełną odpowiedź. Otrzymując od niej kartki pocztowe z Indonezji, Mongolii czy Paryża zawsze widzę jej uśmiechniętą twarz, życzliwe oczy i słyszę pełen temperamentu głos. Taka jest przy każdym spotkaniu z ludźmi, podczas gali, gdzie honorowano ją odznaczeniami i na zwykłym spotkaniu w szkole z dziećmi. Uśmiechnięta, pełna energii i życzliwości, bezpośrednia w obcowaniu. Tak, podróżowanie jest dobrym sposobem na życie, jeśli dzielimy się z innymi owocami tych podróży.

Zastanawiając się nad istotą podróżowania

jawią mi się różnorodne jego formy. Powtarzając starą prawdę, że podróże kształcą poprzez poznawanie historii miejsc i nowych ciekawych ludzi, chcę przytoczyć doskonały przykład mojego wyjazdu tego roku do Krynicy Górskiej. Podczas pobytu w tym uroczym kurorcie całkiem przypadkiem trafiłem na spotkanie z podróżnikiem, pisarzem i historykiem panem Zbigniewem Świąchem, nota bene członkiem ekskluzywnego Explorer Klubu z siedzibą w Nowym Jorku. Polskiemu oddziałowi prezesuje Marek Kamiński, zdobywca obu biegunów, a wiceprezesem jest Elżbieta Dzikowska. Ten interesujący człowiek podróżuje w czasie, penetruje historię, a właściwie odkrywa ją dla nas na nowo, gdyż jak powiedział: w każdej podróży nie ma nic stałego. Jego cykl książek pod tytułem *Kłątwy, mikroby i uczeni* zyskały mu międzynarodową sławę i wprawiły w zakłopotanie niejednego historyka. Odsyłałam do lektury i polecam szczególnej uwadze pozycje *Wileńska kłątwa Jagiellończyka* oraz *Ostatni Krzyżowiec Europy*, rzecz o dalszych, tajemniczych losach króla Władysława III Warneńczyka po bitwie pod Warną. Brzmi co najmniej ciekawie, prawda?

Te dwa przykłady, jako synonimy podróżników, odkrywców jawią mi się jako idealny ale niepełny obraz bez wspomnienia o Ryszardzie Kapuścińskim. O swojej ostatniej książce *Podróż z Herodotem* napisał m.in. „A podobnie jak kiedyś pragnąłem przekroczyć granicę w przestrzeni, tak teraz fascynowało mnie przekraczanie w czasie”. Niezwykła podróż niezwykłego człowieka.

Na koniec nie mogę się powstrzymać, żeby nie przytoczyć ulubionego mojego podróżnika, który z każdej przygody wyciągał słuszne wnioski. Mowa o dzielnym wojaku Szwejku i jego słynnej budziejowickiej anabasis. Bo jak mawiał Szwejk: maszerując wciąż naprzód bez wiadomości topograficznych, można dokonywać istnych cudów. Czego Tobie drogi czytelniku z całego serca życzę.





ADAM WIELOMSKI

OKIEM NEOWIEŚNIAKA

WYKSZTAŁCIUCH NA WAKACJACH

W ostatnim numerze „Koziegorynku” zapowiedziałem, że będę bezustannie monitorował środowisko wielkomiejskich „wykształciuchów” i opisywał ich dziwactwa dla nas, wieśniaków z urodzenia i tzw. neowieśniaków, czyli tych, co to niby z pochodzenia miastowi, ale w mieście ani nie mieszkają, ani się z nim nie utożsamiają. Minęły właśnie wakacje, a więc warto przyjrzeć się jak ludzie miastowi podróżują i jak spędzają w tychże podróżach czas. Co ich interesuje, co oglądają, a czego ani nie widzą, ani nie rozumieją. Znany krytyk wykształciuchowskich doktryn i nauk Oswald Spengler zauważył kiedyś, że historyczne znane nam społeczeństwa dzielą się w swoim dziejowym rozwoju na tzw. kulturę i cywilizację. W języku Spenglerowskim „kultura” to taki stan, gdzie energia ludzka koncentruje się do wewnątrz. Ludzie kultury mają przeto skłonności do kontemplacji, do troski o swoje cnoty moralne i te wartości przedkładają ponad karierę, zysk i nagrody w wyścigu szczurów. Z kolei ludzie „cywilizacji” są duchowo puści, dlatego ich energia nie może kulminować się w ich wnętrzu. Z tego też powodu dają jej upust na zewnątrz. Dlatego tak ważna jest dla nich kariera, zysk, ruchliwość.

W kategoriach Spenglerowskich wielkomiejski wykształciuch bez wątpienia jest człowiekiem z epoki późnej cywilizacji, którego aktywność jest wyłącznie zewnętrzna. Modelem idealnym takiej postawy jest tzw. japiszon (yappi).

Pojawia się przeto pytanie, jak bycie człowiekiem „cywilizacji” wpływa na sposób podróżowania wykształciucha?

Należy przede wszystkim zauważyć, że wykształciuch z natury chętnie podróżuje, przeprowadza się i zmienia miejsce swojego pobytu. Pcha go do tego przede wszystkim ciekawość, a także banalny fakt natury biologicznej. Wykształciuch mieszka w mieście, czyli w świecie betonu, asfaltu i płyt chodnikowych. Żadna roślina nawet ludzka nie jest zdolna zakorzenić się w płycie betonowej. U mnie w lesie leży taka

porzucona przez jakichś barbarzyńców z miasta wielka płyta betonowa. Nie rośnie tu ani jedna roślina. Owszem, za ileś lat na płycie tej osiadą grudki ziemi i możliwe stanie się tam zakorzenienie się jakiś zielonych roślinek. Ale zakorzenienie to zawsze będzie słabe i takie być musi, bowiem jeśli tylko roślina wzrośnie i będzie próbowała głębiej wypuścić korzonek, to natknie się na beton.

Ta roślina, która kiedyś wyrośnie na betonie, to idealny obraz rośliny ludzkiej. Tak żyje homo miastovus, czyli typ człowieka powstały w wyniku psychicznej inwolucji od człowieka ku istocie zdepersonalizowanej i jakby to powiedział stary Marks - od-



Hubert Czarnocki



📷 Iza Koczkodaj

człowieczonej. Homo miastovus nie zakorzenia się, lecz wegetuje na miejskiej płycie lub popularnej kostce Bauma. Jeśli tylko nie jest nazbyt wielkim leniuchem, to chętnie odrywa się od swojej rodzimej płyty i wyjeżdża w podróż.

Niech Pan Bóg broni, abym odradzał komukolwiek podróżowanie! Wprost przeciwnie, w epoce przedwyształciuchowskiej podróż po Europie była naturalnym etapem nabycia wykształcenia i oglądy przez każdego młodego panicza z tzw. dobrego rodu. W towarzystwie guwenera zwiedzał on wtedy Paryż, Rzym, Wiedeń, podziwiał budowle Wersalu i Zamki nad Loarą, zwiedzał mury Carcassonne i modlił się w katedrze w Strasburgu; przechadzał się ogrodami Schunbrunnu i moczył nogi w fontannach Rzymu. Po drodze kupował książki i zwiedzał starożytne budowle. Wprawdzie czasem też trafił to jakiegoś zamtuza, ale pomińmy to milczeniem. Taka słabość ludzka. Ot co.

Młody panicz z dobrego domu zwiedzał Europę. Ale warto zaznaczyć jedną rzecz:

było to uważane za uzupełnienie i dokończenie jego edukacji. Dziecko nauczyło się łaciny, liznęło grekę, konwersuje po francusku i włosku, zna na pamięć Homera i Tacyta; czytało Szekspira, Rabelais'go i Montaigne'a; cytuje z pamięci wersety z Pascala i św. Tomasza. Na lekcjach historii poznało dzieje swojego kontynentu; jego wyobraźnię rozpalają opisy bitew i architektury wielkich miast. Słowem, młody człowiek wybiera się na roczną przejażdżkę po Europie po to, aby na własne oczy zobaczyć to, czego uczył się przez całe dzieciństwo. Edukacja uczyniła go dziedzicem Cywilizacji Zachodu - teraz pojechał, aby te cuda Zachodu zobaczyć własnymi oczami, aby przejść się uliczkami Montmartre, Dzielnicy Łacińskiej, zobaczyć Piazza Navona i zanurzyć rękę w fontannie di Trevi, a potem - na sam koniec - zobaczyć boskie wybrzeże Santa Lucia i móc kiedyś umrzeć mogąc sobie powiedzieć: „Widziałem geniusz człowieka Zachodu”.

I tu właśnie jest przepaść między podróżą panicza a wyształciucha. Panicz jechał, aby podsumować i unaocznic swoją edukację, podczas gdy wyształciuch jedzie, aby dopiero ją zacząć. Wyształciuch przecież nie zna ani łaciny, ani greki, ani francuskiego, ani włoskiego. Zwykle nie zna żadnego języka, ewentualnie dialekt handlarzy bawelny znad Tamizy. Wyształciuch nie czytał, a jedynie słyszał o Homerze i Tacycie. Tego pierwszego uczono go nawet w szkole. Wyształciuch nie czytał Szekspira, ale oglądał dwie jego sztuki w Teatrze Telewizji; Rabelas'go i Montaigne'a nawet nie zna ze słyszenia - wszak nie było z nimi żadnego wywiadu w „Gazecie Wyborczej”. Pascal też nie jest mu znany, gdyż nie gości w programie u Moniki Olejnik. Jedynie św. Tomasz jest lepiej zbadany - wyształciuch wie, że nie należy go czytać, gdyż to „jakiś klerykał”.

Czy więc wyształciuch zwiedza? Tak, tego nie można mu zaprzeczyć. Występuję owo zwiedzanie nawet w dwojakiej formie. Forma pierwsza to wycieczka zorganizowana. Widok to przedni. Wyobraźmy sobie klimatyzowany autokar pełen wypasionych wyształciuchów z browarami w rękę. Wjeżdża - dajmy na to - do Rzymu. Staje na Piazza di Popolo. Wyształciuchy wysia-

dają. Przewodnik przez 10 minut mówi im co to za plac, potem wskazuje na dwa kościoły na południowej stronie, każe zrobić pamiątkowe zdjęcia. Wycieczka jedzie dalej, pod fontannę di Trevi. Znow 5 minut wykładu, potem zdjęcia, potem każdy wrzuca monetę do wody z myślą, że tu wróci. Wykształciuchy jadą na Forum Romanum. Tu wchodzi na forum, przewodnik ma 5 minut przemowy przed każdym kamieniem i wykształciuchy przemykają się do Koloseum. Tu pamiątkowe zdjęcie, zawrotka, jeszcze Ołtarz Ojczyzny, wąż Wiktora Emanuela, jeszcze patrzą w prawo na balkon Mussoliniego, zdjęcia, jeszcze schodkami na górę na Kapitol, zdjęcia; tu 10 minut mowy przewodnika, zdjęcia, jeszcze zajrzeć do celi św. Pawła, pamiątkowe zdjęcie. I RZYM ZWIEDZONY! Zaliczony, można skreślić z mapy „miasta do zaliczenia” miasto Rzym!!!

W drugiej wersji wykształciuch przyjeżdża sam, bez przewodnika. Jedzie do Rzymu wiedząc, że jest tam „dużo zabytków” i z przewodnikiem pod pachą. Uwaga! Wykształciuch nigdy nie czyta przewodnika przed przyjazdem. Dlatego dobre przewodniki zapewniają tzw. zwiedzanie krok po kroku, gdzie wykształciuch ma wytyczoną do zwiedzania ulicę po ulicy.

Nie ma wątpliwości, że w wersji nr 2 wykształ-

ciuch zobaczy i zwiedzi więcej. Tym niemniej trudno oprzeć się wrażeniu, że wjechał do obcego mu miasta. Obce jest użyte tu nie tylko w znaczeniu „nieznane”. To miasto jest mu autentycznie obce, gdyż nie zna historii tegoż miasta, historii tego kraju, historii tej (a więc i jego) cywilizacji. Pamiętajmy bowiem, że przeciętny wielkomięski wykształciuch ma wyłącznie kwity i dyploma potwierdzające jego wykształcenie, zaliczone egzaminy, absolutorium, napisaną i obronioną pracę magisterską. Ale poza swoją wąską specjalnością jest absolutnie pozbawiony edukacji. Jest nomadem, który patrzy na Porta Nigra w Trewirze oczami Huna Attyli.

To wyjaśnia nam, dlaczego wykształciuchy tak snobują wyjazdami do Chin, Indii, Nepalu, Australii, Tanzanii i Meksyku. Przecież Zakazane Miasto w Pekinie czy Piramida Słońca na Jukatanie są mu tak samo cywilizacyjnie obce jak Rzym i Paryż. Jak się nie rozumie co się zwiedza, to przyjaściółom-wykształciuchom można tylko opowiedzieć, jak długo się tam jedzie...



AŁEKSANDER PUSZKIN

Jesień (fragment)

Tyś najsmutniejszą z pór, a zachwyty budzisz we mnie.
 Podoba mi się ten twój pożegnalny czar,
 Twój powab, pierwsza z dam - jesieni - co, choć wędniiesz,
 To lasy stroisz swe w czerwonożłoty szal.
 W koronach drzew gra wiatr i mgieł oddechy ciemne
 Niebiosa kryją wciąż jak stado chłodnych fal.
 I słońca rzadki błysk. I pierwszych mrozów szrony.
 I zimy groźby złej, choć jeszcze oddalone.

(przekład Adam Świć)